XXIV. Kraków, 15 października 1921 r. Nr. 20.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

[illegible]: z przes. poczt. 285 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 419

[illegible]
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze S. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“ Łódź, Piotrkowska 81.

Numer pojedynczy 50 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 50 Marek.



— Już południe a tyś jeszcze nie ubrana?

— Dziś spis ludności, czekam na komisarza spisowego i nie mogę się doczekać...



Do Japończyka.

sprawozdawcy muzycznego „Naprzodu".

Kochany panie Jasiński,
(Przyjm uwagę tę na uszko),
Porzuć raz proceder świński
Wycierać gębę Moniuszką.

„Szczekał pies na karawanę
„Poszła dalej karawana" —
Powiedzenie wszystkim znane
Niechaj dojdzie i do pana.

Moniuszko naszej muzyki
Był i będzie wielką chwałą;
Z wyżyn go nie strącą bziki
Takie, jak ty — dyrdymało.

Kraków, Wilno i Warszawa
Będą wielbić go zarówno.
Jego „przydział": cześć i sława,
A Moniuszkofobów — guzik.

Po ślubie.

Młoda pani Alina tonie na drugi dzień po ślubie we łzach. Naturalnie matka, zastawszy ją tak płaczącą w dzień po ślubie zaledwie, usiłuje wydobyć od niej powód płaczu, gdy jej się to wreszcie przecie udało, pociesza ją, jak może:

— Ależ Alińciu! masz też czego płakać!... Pomyśl tylko, że nieraz sama mówiłaś, że lubisz dzieci, że chciałabyś...

— Tak... taak — przerywa matce pani Alina, zanosząc się od płaczu, a... ale niee sze... sześć od ra... razu?...

Krzywdzona służąca

— „Nie czyń nigdy sługom krzywdy! —
Mówi mama, mówi tato,
Oni są bliźnimi twymi,
Chociaż służą za zapłatą!

— Ech! odpowie mały Kazio,
Na moralną taką mówkę —
A dlaczegóż to wujaszek
Krzywdzi naszą pokojówkę?!

— Co ty pleciesz! — mówi mama,
Pomieszana tem nie mało,
Że wujaszek... Ach! moj Kaziu,
To ci tylko się zdawało!

— Tak! — rzekł chłopczyk — tak! na schodach!
Ja opowiem to mamusi!
On jej na złość świecę gasi,
Potem szczypie ją i dusi!...

O! już lepszy jest mój tatko!
Gdy ją dziś uszczypnął zrana,
To ją zaraz pocałował,
Nawet wziął ją na kolana!...

Zbagatelizowany.

— Panie! przyznać się muszę, że serce moje zgubione!

— O to mniejsza! Zaraz zawołam pokojówki ze szczotką, może gdzie znajdzie!...





Z autentycznych facecyj.

Słynny swojego czasu ze swej jowialności i z tego, że rżnął zawsze prosto z mostu, Węgier baron Mikosz, znalazł się raz na polowaniu, urządzonem przez cesarzową Maryę Teresę.

Po polowaniu odbyło się śniadanie, podczas którego odezwała się cesarzowa do gości:

— Wybaczcie panowie, że niema nic więcej tylko gulasz... To polowanie urządzono tak nagle, iż ani rusz było przygotować co innego...

A baron Mikusz na to:

— Pluję na wszystko inne, jeśli mam gulasz!... To przecież nasza narodowa węgierska potrawa...

Cesarzowa uśmiechnęła się, to wyrażenie Mikosza nie poszło jednak w smak innym magnatom węgierskim, obawiającym się, że dwór może sobie wyrobić kiepskie wyobrażenie o ich elegancyi. Nawymyślali zatem Bogu ducha winnemu Mikoszowi i oświadczyli mu, iż musi się zrehabilitować w oczach władczyni. Postarano się zatem o sposobność, aby Mikosz mógł się znaleźć w bezpośredniem towarzystwie Maryi Teresy i wbito mu w pałkę, jak się ma wobec niej zachować, by naprawić złe wrażenie.

— O! możecie być pewni, że wam wstydu nie zrobię... — mówił Mikosz.

W samej rzeczy znalazła się wkrótce sposobność. Marya Teresa, uprzedzona przez swe otoczenie, zagadnęła Mikosza:

— Los panującej nie jest bynajmniej do pozazdroszczenia... Na każdym kroku napotyka się na trudności i zmartwienia... Świadczą o tem najlepiej moje przedwczesne zmarszczki na twarzy...

A Mikosz, aby należycie wywiązać się ze swego zadania, rzekł, ujęty jej łaskawością:

— Pluję na twarz, najjaśniejsza pani, jeśli serce zacne i poczciwe...

I cmoknął ją w rękę tak głośno, aż się echo wokół rozniosło.

Kaktus Kobierzyński

POWIEŚĆ *)

Na wielkim zegarze ściennym, z którym się nigdy, jako człowiek ceniący czas, nie rozstawał, wybiła właśnie trzydziesta szósta godzina, pan Filoktet doszedł zatem do przekonania, że czas już wracać w domowe progi, zbliża się bowiem pora południowa, a cała rodzina zgromadzi się wkrótce obok łoża kolacyjnego. Sam nic nie jadał, mając wycięty żołądek, na sprawienie nowego, nie będąc paskarzem, nie miał funduszów, cieszyło go jednak, ilekroć widział kogoś jedzącego z apetytem, a radość jego dosięgała szczytów Himalajów, gdy się dowiedział, że ktoś umarł z obżarstwa.

Zakończył zatem codzienną przechadzkę, którą musiał codziennie odbywać z polecenia domowego weterynarza, który go leczył na zapalenie opon mózgowych w prawej pięcie. Cierpienia tego nabawił się przed laty skutkiem zacięcia się podczas golenia. Ponieważ zaś jedynym środkiem na usunięcie tej dolegliwości jest ruch, używał go zatem, chodził jednak po dachach śródmieścia, a nie po jego brukach i asfaltach, pełnych dziur i wybojów.

Znalazłszy się nieopodal swego mieszkalnego domu, zdjął spodnie i trzewiki i zawiesił je na słupie tramwajowym. Przy tej sposobności przekonał się, że prawa nogawka jest zupełnie próżna, że zatem jedną nogę gdzieś zgubił lub w roztargnieniu zostawił, a trudno było wracać się, by jej szukać, gdyż dzisiaj wstepował wyjątkowo w kilka miejsc, nabawiwszy się niewiadomo z jakiego powodu, niedyspozycyi żołądkowej. Strata ta nie wpłynęła bynajmniej na jego psychikę. Najspokojniej siadł na gzymsie domu, wyjął z kieszeni kamizelki zapasową protezę, z którą się nigdy nie rozstawał, a miał ich zawsze kilka na wszelki wypadek, zastąpił nią brak, poczem, dla skrócenia sobie drogi spuścił się do komina, aby się dostać do swego mieszkania, znajdującego się na trzeciem piętrze. Poszło mu to tem łatwiej, iż komin był prawdziwie familijny, więc odpowiednio szeroki, przytem nie zakopcony, gdyż z powodu katastrofalnego braku węgla, panującego w owym czasie w Krakowie, potrawy przygrzewano przy pomocy skondensowanego ciepła słonecznego, dostarczonego nam z głębi Sahary, przez pewne konsorcyum angielsko-niemieckie, lub też przy użyciu suszonych promieni słonecznych, rozdzielanych między protegowanych przez miejską Centralę opałową.

Znalazłszy się w mieszkaniu, zastał żonę swą siedzącą w salonie na kuchennym piecu. obok na umywalni smażyła się jajecznica z mrówczych jaj, do której dosypywała pilnie zacherlinu, obok na pudełku pasty do obuwia piekł się okazały karakon. Córki wywracały tymczasem koziołki, dwaj synowie grali na cztery ręce na flecie „Dyrdymałkę" Jasińskiego.

— Zdejm trzewiki — rzekła doń żona na wstępie — byś nie powalał sufitu, gdyż podłoga jest świeżo pomalowana.

— Pomyślałem o tem i dlatego trzewiki zostawiłem na ulicy, a wszedłem w kaloszach...— odpowiedział, posyłając jej całusa lewą nogą w dolną część pleców.

Aby czasu nadarmo nie tracić, zajął miejsce na szafie, nogi wygodnie wyciągając na sufit, którego jednak nie było, uległ bowiem zniszczeniu w czasie wczorajszego katastrofalnego trzęsienia ziemi, które zrównało miasto ze ziemią. Nie wiedział o tem, gdyż pismom zakazano o nieszczęściu wspominać, aby nie budzić niepotrzebnej paniki między tymi, którzy stracili mienie lub życie. Jeden jedyny *Kuryer Conocny* doniósł o tem, ale w telegramie od własnego korespondenta, zaopatrzonym wielkim znakiem pytania. Choć więc czytał o tem, nie wierzył.

Dla zabicia czasu zaczął się z lubością wsłuchiwać w tony uroczej symfonii, na którą składało się dzwonienie w uchu, gwizdanie w nosie i kruczenie w kiszkach. W takt kiwał wielkim palcem lewej nogi i wypuszczał głosy z przodu i z tyłu. Dziwiło go bardzo, że mu prawa pięta nie dokucza, ale wnet przypomniał sobie, że ją zgubił wraz z całą nogą i to go uspokoiło.

Jako dobrze wychowany człowiek, nie wiedząc, co zrobić z czasem od kolacyi do śniadania, które podawano wieczorem, udał się do kuchni, aby na fortepianie ułożyć się do drzemki poobiedniej. Nie mógł jednak zasnąć, gdyż ulubiony kanarek, umieszczony w lampie na piecu, szczekał przeraźliwie, podskakując na pozostałej mu z ostatnich czterech nóg. Trzy, wraz z sąsiadującemi z niemi częściami ciała urwał mu granat rosyjski, który w czasie bitwy nad Jeziorami Mazurskiemi dostał się przypadkiem do pokoju przez dziurkę od klucza, zatykaną zazwyczaj dla bezpieczeństwa wiech-

*) Ceniony futurystyczny literat, zarazem doskonały znawca muzyki przyszłości i malarstwa, nadesłał nam łaskawie początek swego najnowszego utworu (*Przyp. Red.*).



Praktyczny.

— Ani nie przypuszczałem, że z ciebie taki amator antyków...

— Niby pod jakim względem?...

— A twój romans z radczynią, gdy w domu są dorastające córki. Ja, przyznam się, puściłbym starą kantem, a wziął się do jej pociech, bo to panienki wcale niczego...

— Ja wiem o tem, mój drogi, i jeżeli tak postępuję, to tylko ze względów praktycznych. U radców mam zapewnione stale kolacye, ma więc człowiek wobec nich pewne obowiązki wdzięczności, spełniam je zaś wobec matki, nie córek, gdyby bowiem nieszczęście chciało, że byłyby niepożądane skutki musiałbym się żenić, a do tego nie mam wcale, ochoty...

Literacka rodzina.

— Moje dzieci okazują nadzwyczajne zamiłowanie do literatury... Córka nie kładzie się do łóżka bez „Pana Tadeusza“, a syn obrabiał kiedyś całą noc „Maryę“ Malczewskiego...

Wilk bez zębów.

Pan Stanisław Tomkowicz chwali się w „Czasie“, że został dopuszczony za klauzurę krakowskich klasztorów żeńskich, że spędzał za tą klauzurą „długie godziny“, że zaglądał do „różnych kątów“, których oko męskie nigdy nie widziało, że on jeden „miał sposobność je widzieć“, że nie panuje w nich „nieubłagana surowość“, ale owszem, jest „wesoło“.

Szanowny badacz zapomniał tylko dodać, że zanim dostał pozwolenie wejścia za klauzurę, musiał przedstawić swą metrykę, dowodzącą, że ma 70 wiosen za sobą, oraz świadectwo lekarskie, opiewające krótko: „pars virilis absolute devastata“.

U lekarza.

Pan konsyliarz puka, bada
Chcąc mieć w dyagnozie pewność
I nareszcie decyduje:
„Wada serca, niedokrewność!“

Przedewszystkiem by się pozbyć
Nadmiernego serca bicia,
Musi pani się powstrzymać
Od niektórych uciech życia.

Jest to kwestya dość drażliwa:
Pohamować swe porywy —
Czy mąż pani, że tak powiem
Jest w czułościach... natarczywy?

— Mój mąż temu rok wyjechał! —
Dama na to odpowiada.
Lecz, gdy mam mieć odpoczynek —
Znów sprowadzę tego dziada...

Z mowy pogrzebowej.

W jednem z naszych miast prowincyonalnych żył przed laty kilkunastu oficyał pocztowy, pan R., znany szeroko z tego, iż przy każdej okazyi zabierał głos i mówił szeroko i długo, choć nie zawsze mądrze. Był on także jeneralnym mówcą na pogrzebach swych znajomych.

Podczas pogrzebu jednego ze swych kolegów, wyliczywszy zasługi nieboszczyka i ubolewając nad stratą, jaką przez śmierć jego całe społeczeństwo poniosło (nieboszczyk był także oficyałem pocztowym), zwrócił się do wdowy z następującem pocieszeniem:

— A ty, biedna wdowo, którą osierocił, nie rozpaczaj! Pozostali jego przyjaciele, którzy ci go zastąpią, ilekroć tego zażądasz...





Sposób na spóźnienie.

Panna Klara i pan Adolf
Mieli serca nie ze stali,
A więc po cóż kryć daremnie,
Że oboje się kochali?

On był w sądzie dyurnistą,
Ona — „panną“ w magazynie,
A musieli być przy pracy
O dziewiątej punkt godzinie.

A o ósmej zrana zawsze
Spotykała się ta para,
Lecz raz spóźniał się pan Adolf
Raz zaspała panna Klara.

Stąd niesnaski i wymówki:
— „Tyś niesłowny!“ — „toś ty płocha!“ —
— „Ja mam racyę!“ — „Nie masz racyi!“
„Bo nie spóźnia się kto kocha!“

I kto wie, czyby się wreszcie
Owa miłość nie zerwała,
Lecz na szczęście, że kochankom
Myśl zabłysła doskonała.

Teraz już o punktualność
Żadne z nich się nie kłopoce,
Aby zrana się nie spóźnić
To spędzają razem noce!...

Szczęśliwa ręka.

— Chciałbym prosić pana konsyliarza, aby raczył odwiedzić moją teściową i zajął się nią serdecznie...

— Czy stan ciężki?

— Ciężki nie jest, nie tracę jednak nadziei, gdyż znajomi moi powiadają, że pan doktór ma bardzo szczęśliwą rękę...

---

ciem ze słomy. I w tym dniu to uczyniono, ktoś jednak wyciągnął wiecheć celem podtarcia sobie nosa, gdyż nie mógł znaleźć chustki. Od tego czasu stał się kanarek nerwowy, niczem stara panna, dokuczał wszystkim, z wyjątkiem kota, wobec którego czuł respekt.

Aby kanarka uspokoić i samemu się do snu utulić, wyciągnął pan Filoktet lewą nogę ku klawiaturze i rozpoczął wygrywać kołysankę buchalteryczną z „Odrodzenia“ Różyckiego. Obu to dobrze zrobiło, to jest jemu i kanarkowi. Kanarek usnął, a pan Filoktet zaczął szczekać, co go wprawiło w stan *transu*, w czasie którego wydawało mu się, że jest zakochanym osłem z *Kuryera*, jako człowiek praktyczny, nie walił przecież głową w ścianę, wiedząc, że to niezdrowo, lecz pięścią w tę część ciała, gdzie kości najmniej. I inne zjawy chodziły mu po głowie — zdawało mu się, że jest Lloyd'em George'em i że dławi się węglami górnośląskimi, że Fedak strzela z czterdziesto-centymetrowej armaty. Nie trafił go jednak, wobec czego ciężki kamień spadł mu z serca i to z takim hukiem, iż się obudził.

Jak długo spał, z tego nie zdawał sobie sprawy. Ciemno było wokół, co mu jednak nie przeszkadzało, iż uczuł dotkliwe zimno. Aby się rozgrzać, chciał sobie zaśpiewać, nie mógł jednak uchwycić głosu, gdyż mu ręce zmarzły. Celem ogrzania, chciał je włożyć do kieszeni spodni, lecz nie mógł do nich dosięgnąć, gdyż wisiały na słupie tramwajowym, gdzie je, wracając do domu, zostawił.

Kanarek siedział zupełnie cicho, gdyż, jak się potem pokazało, zdechł rok temu po operacyi na ślepą kiszkę, która się zupełnie udała. Przeniósł się do wieczności nie z winy operatora, lecz ślepej kiszki, dla której u żadnego optyka w całym Krakowie nie można było dobrać okularów.

W tej chwili weszła do kuchni jego żona... Nie poznał jej, była bowiem zupełnie siwa, choć kładąc się, zostawił ją brunetką. Sądząc, że to może złudzenie akustyczne, przetarł oczy, przekonał się jednak, że go węch nie mylił... Była to w samej rzeczy jego żona, mająca jednak włosy, zwłaszcza na głowie, zupełnie siwe. Od niej dowiedział się, że spał lat prawie dwadzieścia pięć, nie chciano go jednak budzić, gdyż wydawał się śnić bardzo przyjemnie.

Od żony dowiedział się, że z siedmiorga dzieci, jakie pozostawił, usypiając, trzy córki są już matkami, jedna z nich nawet w najbliższym czasie ma zostać babką (ale nie ze Skawiny!... *przyp. zecera*), synowie zaś czterej zajmują wszyscy wysokie stanowiska. Jeden z nich jest blacharzem i kryje dachy, drugi naprawia kominy fabryczne, trzeci trąbi na wieży Maryackiej, czwarty zaś, który odznaczał się zawsze największym polotem, jest konduktorem tramwajowym, przydzielonym do obsługi samolotów na linii Rynek-Park Krakowski.

W tej chwili wszedł do pokoju siedmioletni może chłopczyk. Pod jedną pachą niósł książki, wracał zatem widocznie ze szkoły, pod drugą zwiniętą w kłębek garderobę.

— A to co znowu? — zapytała żona pana Filokteta. — Co to za figle?

— Nie miałem, mamusiu, dzisiaj szczęścia — odpowiedział malec. — Na pauzie przegrałem do mojego nauczyciela wszystkie guziki, wolałem zatem zdjąć ubranie, by go po drodze nie pogubić...

— Oto nasz najmłodszy syn — odezwała się pani Filoktetowa, zwracając się do męża. — Przyszedł na świat w czasie, gdyś spał...

— Nasz?... — powtórzył pan Filoktet ze zdziwieniem.

— Ach, tak!... Zapomniałam ci powiedzieć, że nie mogąc się doczekać, aż się obudzisz, wyszłam tymczasem powtórnie za mąż... Jeśli jednak sobie życzysz, mogę z nim wziąć rozwód. Obecnie zawieramy śluby cywilne, o rozwód daleko też łatwiej niż dawniej...

— O, nie!... Żyjcie sobie szczęśliwie!... Bodaj tę korzyść odniosłem ze snu... — i odetchnął z ulgą, a pani Filoktetowa otworzyła drzwi szafy i wyprowadziła stamtąd średniego wieku mężczyznę, w jednym trzewiku, a w jednym pantoflu, w którym pan Filoktet poznał swego kolegę ze szkolnej ławy.

— Mój obecny mąż... mój były mąż — zapoznała obu panów.

Pan Filoktet, jako człowiek dobrze wychowany, złożył nowożeńcom życzenia, przyczem kichnął, co oni uważali za dobrą wróżbę, a on za objaw kataru, jakiego się nabawił w czasie snu. Wszyscy powiedzieli mu „na zdrowie“, z wyjątkiem kanarka, który, jak wiadomo, dawno już odleciał do cieplejszych krajów.

Widząc, że pobyt jego pod tym dachem nie ma już racyi bytu, spojrzał z współczuciem na swego zastępcę, spakował swe ruchomości do pudełka od zapałek i, otworzywszy lufcik okna, wyskoczył z trzeciego piętra na ulicę, żegnając pozostałych słowami:

(Dalszy ciąg nastąpi).



— Czy pani przyjmuje?

— Tak!... Ale najmniej dziesięć tysięcy marek...



— Starzeje się człowiek i robi coraz większym niedołęgą... Ani rusz włożyć, z wyjęciem idzie jakoś łatwiej...



— I jakież wrażenie odczuwasz niosąc mnie?

— Powiadają, że należycie do lekkiego towaru, a przecież dość mi ciężysz...



Grasz tak smętnie, że doprawdy nie wiem, czy masz tak zbolałą duszę, czy też taki pusty pugilares.



— Nie moja wina, moja droga!... Od pewnego czasu zmieniłem moje zapatrywania i wystąpiłem z partyi Stojałowskiego...



List z zawiadomieniem o ojcowstwie już gotowy... Ale to sęk, do którego z nich go zaadresować...



— To trochę za dużo!... Kąpiesz się prawie codzień...

— Przecież mama wie, że dziś mam się przedstawić dyrektorowi banku, w którym mam objąć posadę...



— Że też wy, kobiety, macie takie upodobanie do kotów... Każda z was już od wczesnej młodości lubi „paluszkami draźnić kotka"...

Ferdek Eleuteryk.



Pokpiwali se różni ludzie z Guzika, że jest ćmoje puskajoncy, a tymczasem pokazuje się, że to morus, który z duchami jest ami koszą, jak godo pewna brzana, lubiąca się przed swemi przyjaciółkami popisować swom frajcuzczyznom. A że jest tylko dwa wyrażynia umiejonca, to jest: atande i ami koszą, więc ciągiem je powtorzo, a jej przyjaciółki są z podziwu dla jej uczoności jadaczki rozdziawiajonce tak samo, jak ona, nie rozumiejonce co te słowa są znaczonce.

Otóż Guzik, gdy był niedawno w tranzecie spirytualnym, przepowiedział, że tygo roku wyciongnie kopyta pare kilkanaście wielgich artystów od tyjatru. Słyszący to, śmiał się ten i ów i godał se: ćmoj boj, żebyś taki zdrów był, jak to prowda!...

Tymczasem pokazało się, że Guzik jest zdrów, a wielgie drapatysty artystyczne odwalają kitę jeden po drugim, nawet te, które z przyrodzynio kity nie som posiadajonce. Bończa, Man, Mrozińska, Solnicki, Wojnowska... nieboszczyka sypią się jak z wora. W artestycznym świecie kuždy i kužda trzensom portkami ze strachu, aby ich Kostusia, która jest widocznie tyjater w niebie zakładajonca, nie zaangażowała do swej trupy. Pospuszczali tyż gzymsy na kwinte, kuždymu się zdaje. że i on jest wielgi, i że teroz kolej na nigo. Dawnij w takiem położyniu možno se było klawo cycnonć i odpyndzić w tyn sposób zgryza, teroz nie do rady, bo sznapitura ciengiem idzie w góre, a marka na dół.

Narobił wienc Guzik galematyjasa, naród zaczyno mu wierzyć, a kandedaty na nieboszczyków fondujom mu, aby ich protegował u duchów, bo wolom błonkać sie po tym świecie i narzykać na bide, niż przeniść się do lepszygo życio. Chodzi tyż Guzik jak paw nadynty a przyjacioły zaczynajom zbirać składki na pomnik, który ma mu stanąć w Liszkach (koło Smierdzoncej) jako w miejscu, gdzie w nocy ujrzał światło dzienne.

Grypsał swoigo czasu Kuryerek, że majom być wynalezione aperaty do pogwarki z duchami, widzimy przecie, że sie bez nich może być obchodzoncym. Wystarczy sam Guzik. I tym sie różni godanie z ludźmi, a z duchami, że przy tym pirwszym, choć sie mo i aparat telafoniczny z guzikiem, dodzwonić sie trudno, przy tym drugim obendzie się bez aparatu.

Jednej ino rzyczy Guzik wyprorokować nie potrafi: kiedy byndzie u nas lepij. Biedroński gabinet poszedł na zielonom trawe, na jego mijsce przyszedł inakszy, w kratke, czy sie jednak bedzie długo przy życiu utrzymujoncym, tego nikt powiedzieć nie jest mogoncy, bo poród był cinżki, a takie noworodki lubią rychło powinkszać grono aniołków. Paskorze i różnygo rodzaju lichwiorze szyjom mu już dziś buty, szczygólnij od chwili, gdy nowy minister od fajansów, Michalski, obiecoł sie im dobrać do sempityrny. Ale boja mają ino niektórzy, reszta jest se tłómaczonca, że to kuždy minister na wstympie jest ostro godajoncy, a potym spuszczo z tonu, jak nieprzymierzajoncy fijakiersko kobyła, ruszajonca z mijsca w galopie i z zadartym do góry ogonem. I on tak zaczyno, potym zwalnio coraz bardzij, w końcu staje ze zwieszonym ogonem i powiado se: „nie dom rady, niech sie w tym g...ulaszu babrze kto inny!..."

Na uczczynie nowygo gabinetu podniósł pan Monopol derektór od rządowyj trafiki, cyny tabaku cygarów i kumetów i to tak klawo, że nie umiołby lepij zrobić tygo najpaskudnijszy paskorz. Paczusia śmieci, wabioncych sie „przednim fajkowym" kosztuje ino... sidemdziesiont pińć marek. A jak tu bidny mindzynaród, może se być dymki puszczajoncy, kiej niema co wrazić do jadaczki, aby se pofrygać gdy maciek mruczy, a tabak taki drogi.

Za tabakiem poszły zapałki. Pudełko już kosztuje czternoście marków, a gdy sie dziwujesz, że znowu poszły w góre, dowisz sie od sprzedajoncego, że to ino wskróś tygo, iż nie wypado, aby drogie kumety zafajczać taniem zapalczywościom. Sam rzond jest wienc piekny przykład paskorzom dajoncy, jak mają być skóre z bliźniego obdzirajoncy: Bijom nas niczym w kaczą d...uszę i nie pozwolą nawet płakać.

Nagrypsołem do pana Ponikowskigo, że, jeżeli dalej pójdzie w ten dyseń, to zabirom moje klajnikajty i razem z Mańką wynosze sie z Polski, a potym choćby mnie i prosili nie wróce do faterlandu. Odgrypsoł, żebym wzion na zatrzymanie, bo wszystko bedzie klawiej, trza ino czekać na poprawe i uzbroić sie w cierpliwość. Na razie mo makówe zajentom inakszemi rzeczami, przedewszystkim uryną wyborczom, którom przed wyborami oddał do zbadanio. Jak ino Syjm uchwoli ordynarność wyborczom, zaroz sie rzond zabierze do naprawianio tygo, co jest złe, aby było lepsze, abo jeszcze gorsze. Jezdem posłuszny, wienc czekam, a jeżeli nie doczekom to nie moja wina, choć mi sie widzi, że prendyj ten gabinet pójdzie na kawki, niż nastanom lepsze czasy, bodaj troche podobne do tych, jakie były przed wojnom, kiedy było gorzyj. Radze P. T. Czytelnikom, aby zrobili tak samo, jak jo i czekali, a tak w kupie to nam jakoś weselij zleci ten czas oczekiwanio.

Na zgromadzeniu przedwyborczem.

Jedna z krakowskich działaczek społecznych, stara panna, referując na wiecu sprawę prawa wyborczego dla kobiet, rzecze między innemi:

— Za same bóle porodowe należy się kobiecie to prawo, które posiadają mężczyźni, nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko przechodzą oni podobne cierpienia...

W tej chwili przerywa jej jakiś męski głos:

— A pani wie, jak to boli, gdy koń kopnie mężczyznę niżej brzucha...

Zakończenie mowy dr. Beauprè.

(Do dziennikarzy rumuńskich.)

...Nostra amiculu! Zawarliteszti konesansu con nostra contuszowku e pipermentu, con circolo artistico-literatopulu, con nostro specifico smrodo urbano, con grandulu nostru oratorulu Wielgusu, Rollu, Saru, con illustro redattore Dąbrovio di Bagatela. Combinescu: habeteszti satis. Trombonia e finitesca (oznaki niezadowolenia). Secunda portionula atendreszti in Zakopane. (brawa). Proponescu una partia szmendefera in nostra waluta podepsemata (huczne oklaski).

Maryanowi kuryerowskiemu

O szwajnogo, o blagierze,
Któryś wolny handel wieścił,
Oby dyabeł cię, a szczerze
Na Madeja łożu pieścił.

Wolny handel wszystkich gniecie.
Ty paskarskim idąc torem —
Biorąc lichwę za swe śmiecie,
Zganiasz złota wór za worem.

Gdy na rożen czart cię wsadzi,
Obracając na wsze strony —
Spłynie tłustość twa do kadzi
I wyżygasz swe miliony.

Sprawiedliwy wymiar pokuty.

Młodemu, świeżo wyświęconemu księdzu, wypadło spowiadać na odpuście. Nigdy jeszcze przedtem nie spowiadał, więc usiadł obok starego księdza, aby w razie potrzeby poradzić go się jaką ma zadać pokutę.

Pierwszą spowiadającą się była młoda wiejska dziewoja, która wyznała, że całowała się z Kubą, synem sąsiada.

— A ileż tego było razy? — zapytał spowiednik.

— Z pięćdziesiąt razy — odrzekła zapytana.

Spowiednik nachylił się do starszego kolegi:

— Proszę księdza — rzekł — jaką zadać pokutę dziewczynie, która pięćdziesiąt razy całowała się z Kubą?

— Niech zmówi co sobotę trzy „Ojcze nasz" trzy „Zdrowaś Marya" i Chwała Bogu Ojcu...

Spowiednik wystawił dziewczynie wielkość popełnionego grzechu, a gdy ta przyrzekła poprawę, udzielił jej absolucyi i wyznaczył pokutę zgodnie z otrzymaną radą.

Zdarzyło się jednak, że i następna grzesznica obraziła Pana Boga w ten sam sposób co pierwsza tylko nie z Kubą, ale z Wojtkiem.

— A ile tego było razy?

— Ze trzydzieści.

Ksiądz się zastanowił. Trzydzieści razy, to nie pięćdziesiąt — należałoby mniejszą zadać pokutę. Wstyd go jednak było o ten sam grzech pytać ponownie sąsiada. Zaczął kombinować, aby znaleźć stosunek między trzydziestu a pięćdziesięciu. Ale jakoś mu nie szło. Nareszcie zdecydował się: Po udzieleniu admonicyi rzekł:

— Moja kochana, skoro żałujesz, grzech ci ten odpuszczę. Ale musisz się jeszcze dwadzieścia razy pocałować z Wojtkiem, aby było równe pięćdziesiąt, a potem co sobota zmówisz trzy „Ojcze Nasz", trzy „Zdrowaś Marya" i Chwała Bogu Ojcu...

Ze spisu ludności.

W czasie spisu ludności przybył komisarz do pani Maciorskiej.

— A córka pani z panią mieszka? zapytuje komisarz.

— No, niby tak, ale nie stale.

— A gdzież spędziła noc z 30 września na 1 października.

— Albo ja wiem, proszę pana komisarza, nie pytałam jej o to.

— Jakto?

— No, bo ona codzień u kogo innego nocuje...

* * *

Pokojówce pani X. dano arkusz spisowy, aby go wypełniła. Szczególny kłopot sprawiło jej pytanie: Stosunek do rodziny.

Nie wiedziała jak odpowiedzieć, wreszcie zdecydowała się napisać:

— Z panią domu naprężony, z panem bliski, z paniczem dopiero co nawiązany.

Język wielkopolski.

Jeden z krakowian pojechał do Poznania i stanął w pensyonacie. Rano zadzwonił na pokojówkę, ale kiedy ta nie przyszła, wyszedł do sieni, gdzie spotkał właścicielkę pensyonatu. Gdzie znajduje się pokojówka — otrzymał odpowiedź: „Ona teraz w tyłku czyści." Miało to oznaczać, że sprząta w tylnych pokojach.

Teuże wyczytał w ogłoszeniach o otwarciu nowego zakładu „dla zesztywnienia przodków męzkich". Pobiegł z ciekawością pod wskazany adres i dowiedział się że w tym zakładzie krochmalą półkoszulki.

Omyłki druku.

Z inseratu. Ładny parobek dla panien posiadających sporo czasu i nie leniących się do płacy. Wiadomość w administracyi.

Z mowy obrońcy. ...Oskarżony całe życie ciężkie przechodził koleje, co wpływało niekorzystnie na stan jego duchowy. Nigdy nie zaznał szczęścia. Dopiero w więzieniu doznał pierwszy raz radości, kiedy się dowiedział, że żona powiła mu synka.

Z powieści. Po odjeździe Karola widocznym był na pannie Emilii poważny skutek.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Indye opuściłem zupełnie zdrowo, obładowany podarkami, niczem osioł. Czego tam nie było!... Całe worki drogich kamieni, dzieła sztuki, wyroby przemysłu, delikatesy indyjskie, dwa żywe słonie, trzy tygrysy, kilkanaście małp i gawiali. Żywy ten inwentarz, nie chcąc się nim kłopotać w drodze, sprzedałem w Kalkucie fabrykantowi czysto wieprzowych kiełbas za tysiąc rupii, resztę zabrałem ze sobą. A było tego tyle, że do pancernika, na którym wracałem musiano przyczepić okręt holowniczy, wypełniony po sam pokład indyjskiemi darami. Niestety zaraz pierwszej nocy dały się nam we znaki wiatry, które były tak silne, że w kajucie zdmuchnęły ze mnie kołdrę, statek holowniczy się urwał i gdzieś zaginął, mam jednak nadzieję, że odzyskam zgubę, gdyż zaraz rano zgłosiłem reklamacyę telegrafem bez drutu u władz morskich.

Według zapowiedzi skierowałem się do Japonii, gdzie już na mnie oczekiwano. W Jokohamie, gdzie szczęśliwie wylądowałem, zebrały się w porcie tysiące ludności na moje powitanie. Jeszcze nigdy w życiu tylu Japończyków nie widziałem... Są oni wszyscy podobni do siebie, jak dwie krople żółtej wody, każdy z nich robi wrażenie niedokończonego, czego natomiast nie mogę powiedzieć o Japonkach, które są na ogół bardzo apetyczne, choć między niemi nie brak starych i brzydkich.

U wejścia do parku wznosiła się wspaniała brama tryumfalna z napisem: *„Ser wusba tiar“!*, co po japońsku znaczy: „witaj drogi przybyszu“. Obok ustawiona była kompania honorowa akcyzy z orkiestrą tramwajarzy, która na me powitanie zagrała polkę: Rach-ciach-ciach..., a Federowicz Jokohamy wygłosił trzy godziny trwającą przemowę japońską, którą zakończył po polsku:

„W kwitnącej wiśni bądź pozdrowion kraju,
Przesławny Klapo, polski samuraju“...

Byłem przedmiotem szczególniejszych owacyi zwłaszcza ze strony Japonek, z których każda przybyła z gałązką chryzantemu i chciała ją włożyć, ale każda w inną dziurkę. W rezultacie pokazało się, że choć mam dziurawe buty, łokcie itd., dziurek dla nich zabrakło. Każda chciała bodaj jeden włos na pamiątkę, niestety nie mogłem wszystkich zadowolić, jestem bowiem jak Redakcyi wiadomo, łysy jak kolano. Po dłuższych poszukiwaniach udało mi się nareszcie znaleźć kilka włosów i te oddałem im do podziału. To uwolniło mnie od ich uścisków. Baby rzuciły się na siebie, wyrywając sobie włosy, w sprawę musiała się wmięszać policya, z czego korzystając wsiadłem pospiesznie do samochodu w towarzystwie honorowego orszaku, który miał mi towarzyszyć do Tokio.

Jak się potem dowiedziałem z gazet japońskich w Jokohamie założono coś nakształt naszej centrali, która się zajęła równomiernym rozdziałem mych włosów, by nikt nie był pokrzywdzony.

W Tokio przygotowano dla mnie kwaterę w hotelu „Pod kopcącym wulkanem“, skąd zaraz, zmieniwszy tylko kołnierz i chustkę do nosa, udałem się do pałacu państwa Mikadów, czekających na mnie bardzo niecierpliwie już od dwoch tygodni. I tu przyjęto mnie serdecznie, na ulicach scisk był tak wielki, iż dopiero policya, podobnie jak w Krakowie, musiała robić nieporządek. Skutkiem tego spóźniłem się o całą godzinę, czego następstwem było wystygnięcie kolacyi.

Mikado bardzo miły człowiek, niczem nie różniący się od zwykłego Japończyka, ale zupełnie niepodobny do tego, jakiego pokazywał swojego czasu w operetce Sullivana śp. Myszkowski. Pani Mikadzina bardzo sympatyczna kobieta, tem się tylko różni od swego męża, że nie ma wąsów, ale jest tak jak i on „na żółto“.

Z Mikadem wycałowaliśmy się z dubeltówki, poczem przedstawił mnie swej żonie, która, jak zauważyłem, choć Japonka, zrobiła do mnie „perskie oko“. Przed kolacyą, do której już było nakryte zapoznał mnie Mikado ze swoimi ministrami. Jest ich taka moc, jak i u nas, brak jedynie ministra aprowizacyi i kultury i sztuki, ale zato Japończycy mają co jeść, a kultura rozwija się bardzo pomyślnie. Przy stole siedzieliśmy we trójkę, ja i państwo Mikadowie, ministrowie stali rzędem pod ścianą i oblizywali się, gdy my spożywaliśmy dary Boże.

Na kolacyę była na mą cześć smażona kiełbasa z kapustą, która nam bardzo smakowała, zwłaszcza zaś Mikadowi. Jadł, aż mu się uszy trzęsły i broda, o innych częściach ciała nie mówiąc, gdyż tego nie widziałem.

Ta jego żarłoczność nie podobała się widocznie pani domu, wycedziła bowiem przez zęby:

— Mucuś*), aby ci tylko nie zaszkodziło!... Będziesz znów narzekać na żołądek... Powiadam panu, panie Klapa, nie mam już żadnej przyjemności z moim mężem... Albo śpi jak zabity przez całą noc, albo na kolacyę zje coś ciężkiego, potem całą noc stęka i także niezdolny jest do spełniania wzniosłych czynów...

I westchnęła ciężko spędzając wachlarzem muchę, która ośmieliła się usiąść na jej najjaśniejszym nosie.

— Wiek, miłościwa pani... — pozwoliłem sobie zrobić uwagę.

— To wasze europejskie pojęcia... — odpowiedziała — My Japończycy zupełnie inaczej zapatrujemy się na życie. Władca do późnej starości powinien spełniać gorliwie swe obowiązki, aby poddanym świecić przykładem...

Dalsze jej wywody przerwał Mikado, nalewając kieliszki, przyczem powiedział czystą polszczyzną: „Po kiełbasie napijwasie“!..., wstał na nos naciągnął okulary, z kieszeni szarawarów wyjął kartkę i odczytał z niej następujący toast:

— Wdzięczny jestem cieniom mych przodków (w tem miejscu ministrowie pochylili się głęboko, przyczem jednemu z nich wyrwało się westchnienie ale nie z ust...), że pozwoliły mi powitać cię, czcigodny panie Klapa na ziemi japońskiej. Węzły przyjaźni między obu narodemi, zadzierzgnięte przez wielkiego mego rodzica (ministrowie pochylili się znowu, tym razem bez żadnego wypadku...) z okazyi pobytu między nami wielkiego waszego estety, pana Feliksa Jasińskiego, którego pamięc dotąd się przechowała, wzmocnią się jeszcze bardziej i nie pozostaną bez wpływu na losy polityki światowej. Witam cię gorąco i wołam z głębi mego serca: „Nasz przyjaciel, polski samuraj, pan Klapa, banzaj“!...

Okrzyk ten powtórzyli trzykrotnie ministrowie, ale widocznie coś się nie podobało władcy, gdyż zwrócił się do nich ze słowami:

— Głośniej!... Od czego was trzymam?... Jutro rozpędzę na cztery wiatry i powołam nowy gabinet...

Wrzasnęli ile tchu starczyło w piersiach, co Mikada zniewoliło do uwagi:

Nie tak głośno!... Możecie odejść. Jutro o dwunastej uroczyste posiedzenie rady gabitowej, kto się spóźni dostanie dwadzieścia pięć bambusów... Abtreten!

Cofając się tyłem, momentalnie jak jeden mąż znaleźli się za drzwiami, my trąciliśmy się kieliszkami, poczem rozpoczęła się poufała pogawędka, po której wszyscy troje udaliśmy się do nadwornego Teatru pcheł na galowe przedstawienie.

Dzień mojego przybycia zmienił się w święto narodowe. Ulice miasta iluminowano, na placach publicznych grały katarynki, wiał nawet tajfun, a wulkan Fukuszima kopcił ze zdwojoną siłą, na giełdzie marka polska poszła w górę, gdy wczoraj za jednego yena żądano pięć funtów dziesięciomarkówek, dziś tylko cztery i pół.

Ponieważ w Japonii zabawię dłużej, gdyż mam być starostą na weselu ks. Hirohity, resztę sprawozdania odkładam do następnego listu, w szczególności zaś przebieg mej audyencyi u ks. Naga-Ko, która się tu już nie zmieści.

Banzaj! *Klapa.*

*) Zdrobniale: Muttsuhito. (Przyp. Red).

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



To co widzisz na obrazku
Dziś należy już do bajek,

A urocza ta tancerka
Obejść musi się bez jajek!